

## Prozorow Aleksander

### Sukces operacji „Geniusz”

Z „Science Fiction” nr 10 – listopad 2001

Jodły pachniały po prostu odurzająco. Jakby ktoś podsunął pod nos pojemnik z odświeżaczem powietrza i wypuścił za jednym razem całą jego zawartość. Z tym zapachem mieszała się woń smoły, mchu, trawy, ozonu i wielu, wielu jeszcze rzeczy, których nazw nawet nie znam. Gruba warstwa igieł pod nogami sprężynowała niczym perski dywan z wytwórni w Pskowie, a ogromne syberyjskie cedry, do objęcia których potrzebnych by było dwóch drwali, cichutko poskrzypywały poruszane podmuchami wiatru, jak stary plastik w przeciagu.

Jeśli ktoś nie wie: syberyjskie cedry to sosny o wspaniałych charakterystykach budowlanych, poza tym rodzą bardzo smaczne orzeszki.

Na dodatek nad głową niemal od razu rozbrzęczały się komary. Nie te normalne, wielkości kursora i koloru pojemnika z uranem, ale jakieś czarne, jak dekoracyjny kineskop, i brzęczące niczym nie sterowany moduł lądujący. A poza tym potwory te miały kłujki wielkie jak igła strzykawki i stale usiłowały te igły wykorzystać.

Wszystkiemu jest winien Anton, zaraza. „Nie możemy zastosować żadnej dezynsekcji, żadnych fitoncydów! Jeśli wszystkie komary i muchy będą od ciebie uciekały, to tubylcy zaczną coś podejrzewać”. Niechby teraz tu siedział, walił się własnoręcznie po gębie... To znaczy - z powodu komarów:

- Wszystko w porządku, Arkady - szepnął głos w moim uchu. - Przerzut odbył się bez zakłóceń, dokoła spokój, do wsi masz jakieś dwa kilometry.

- Nie mogłeś bliżej mnie wyrzucić, bydlaku? - ryknąłem, zabijając jednocześnie dwa komary pompujące krew z mojego nosa.

Jeśli ktoś nie wie: bydlaki to niewykształcone warstwy społeczeństwa.

- Nie można było bliżej - Anton nie zwrócił uwagi na moje wyrzuty. - We wsi mogliby zauważyć błysk.

- Szkoda, żeś się sam tu nie przerzucił. - Dźwięcznie plasnąłem się w policzek i przyspieszyłem. Może pęd powietrza je zmiecie?

- Ciągnij trochę w lewo - poradził mi Anton - bo spudłujesz. Dobrze mu tam - siedzi sobie w laboratorium przed monitorem i radami sobie rzuca. Kierownik, szlag by...

Jeśli ktoś nie wie: szlag by trafił - eufemizm wyrażenia... Krótko mówiąc - eufemizm.

Muszę przyznać, że operację „Geniusz” rozpracowywaliśmy razem. Jeśli mam być szczery, to ja natrafiłem na pomysł w jednej ze starych powieści. Chodzi o to, żeby wyciągać z przeszłości geniuszy, którym los nie dał szansy. Ludzkość przecież od wieków odczuwa brak talentów. Weźmy, na przykład, naszego naczelnego inżyniera: czy utrzymałby się na swoim stołku, gdyby normalni, mądrzy ludzie nie byli zajęci ważnymi sprawami? Tak więc - planowaliśmy z Antonem - pozbieramy sensownych ludzi z minionych wieków i może znajdzie się wreszcie na każde stanowisko odpowiednia osoba. A nasz inżynier pójdzie zamiatać ulice, zamiast robota. Zresztą, w tej chwili też można by było zamienić ich miejscami, nikt by nie zauważył różnicy. Chyba że będzie gorzej pozamiatane.

W sumie - pomysł był ciekawy. A na dodatek natknąłem się jeszcze na artykuł o wiejskim „samorodku”. W jakiejś głuchej części tajgi, we wsi noszącej nazwę Tiumonia, ośmioletnia dziewczynka Oksana sama nauczyła się rozwiązywać równania drugiego stopnia. Jeśli przypomnimy sobie, że w tych czasach dzieci zaczynały czytać w siódmym roku życia, to dziewczynka wydała się nam nader obiecującym obiektem. Okazało się, że miała ściany wychodka wyklejone stronami z podręcznika algebry, więc się „naczyła”.

Rosyjski wiejski wychodek to rzecz unikatowa. Po pierwsze, zawsze miał dwie kondygnacje, to nie był mały domek nad dziurą, jak przyjęto go przedstawiać; poza tym zawsze był ocieplony - w końcu w domu się znajdował, a nie na ulicy. Najciekawsza była metoda odwiedzania: po pobycie w nim wieśniak ciskał w dół siano albo świeżą trawę. Dzięki temu w domu nie czuło się specyficznego zapachu, a przy tym znacznie przyspieszał się proces fermentacji. Zewnętrzna ścianka pierwszego poziomu przybytku zazwyczaj otwierana była na zewnątrz, i gospodarz domu miał możliwość, w miarę zapełniania się przestrzeni użytkowej, opróżniania jej i wykorzystywania jako bazy dla nawozu naturalnego. Z tego klasycznego rosyjskiego wychodka dwaj nasi praktykanci dyplomy zrobili; żona Antona, choć specjalizująca się w

ginekologii, napisała i obroniła doktorat, zaś Amerykanie, którzy najpierw się przykleili do naszego projektu „Geniusz”, wycwanili się i dwa patenty zgłosili, i teraz chcą po jednym cencie z każdej chatupy capnąć. Z tego powodu żeśmy się z nimi poprzytkali.

Co prawda, zanim powiedzieliśmy sobie „good bye”, dowiedzieliśmy się, że jankesi w tym rejonie wyrzucili oddział komandosów, no a reszta to sprawa techniki: Anton wygrzebał w archiwach informację o tym, że onego roku radziecka rakietka straciła szpiegowski samolot, i „nasi” usiłowali z niego wyjąć blok pamięci. Potem stało się coś, co do tej pory jest utajnione, a może i archiwa poginęły, diabli wiedzą, bo potem już ani o dziewczynce-matematycznym geniuszu, ani o kapitanie Pachomowie nigdzie nic nie mogliśmy znaleźć.

A szukaliśmy uczciwie. Anton znalazł list akademika Abałkina, w którym ten wyrażał żal z powodu braku kontaktu z niejaką Oksaną Prudnikową, a ja pojechałem do Pieczorskiego Archiwum Wojskowego. Zaprowadzili mnie tam do ciemnego zimnego bunkra, pokazali stertę papierowych teczek, wyższą ode mnie, i powiedzieli, że to, co mnie interesuje, gdzieś tu jest. Kajam się - splunąłem i nawet nie próbowałem szukać.

Zresztą, dostaliśmy polecenie „wykonać” na bazie tego, co już mieliśmy, i od tego momentu Anton zaczął z dumą nosić identyfikator z napisem: „Kierownik laboratorium”, a ja - „Pilot projektu «Geniusz»”. Anton, jako kierownik, zaczął skanować płaszczyznę czasową, a ja przygotowywałem się do przerzutu. Nie wiem tylko, po co Anton wziął sobie dwóch praktykantów? Na monitor nie może sam patrzeć, czy jak? A na dodatek jego żona cały czas się tu kręci. Ginekolog, nawiasem mówiąc, a doktorat obroniła z klasycznego rosyjskiego wychodka.

\* \* \*

- Arkady, celuj bardziej w prawo - rozległ się znowu szept w moim uchu.  
- Przecież mówię, że w lewo? - zdziwiłem się, ścierając z twarzy burą powłokę z komarów.  
- Nie masz, Arkasza, żadnego wycucia kierunku - protekcyjnie oświadczył Anton. - Nic dziwnego, że zabłądziłeś.

Mądrała. Po tajdze ganiać to nie to samo, co na monitorze trasę kontrolować. Niechby sam naciągnął na siebie robocze ubranie i gumki, i przyleciał tu. Popatrzyłbym wtedy na to jego „prawo-lewo”.

Jeśli ktoś nie wie: ubranie robocze jest koloru niebieskiego albo zielonego, albo szarego, z grubej tkaniny, wkładane na stanowiskach roboczych czy w wolnym czasie, gdy zachodzi niebezpieczeństwo zabrudzenia się lub uszkodzenia powłoki skóry. Jeśli ubranie miało kolor błękitny, to nazywało się „jeansy” i wykorzystywane było jako strój wyjściowy lub reprezentacyjny. Gumki - wysokie buty z połączonych warstw gumy i tkaniny.

- Już jesteś blisko - pośpiesznie rzucił Anton. - Zostało ci ze dwieście metrów. Podsumujmy, znajdujesz Oksanę Prudnikową, nakładasz jej na rękę retonoblizer, jutro razem idziecie do miasta, po drodze na wasz tabor napadają amerykańscy komandosi, i w tym zamieszaniu wyciągamy was. Jasne?

- Powtarzaliśmy to dziesięć razy! - Cholera mnie wzięła: - Ile razy jeszcze będziesz tru? -  
- Uważaj, nie pokręć! - plótn dalej Anton, nie zwracając uwagi na moje słowa. - Kiedy zaczną wybuchać błyskoszumowe granaty z gazem łzawiącym, to będzie znaczyło, że zostaliście napadnięci!

- Wiem, nie jestem durniem.

- I ostatnia rzecz - mamrotał niezrażony Anton. - Nie zapomnij: nazywasz się Pachomow, Siemion Siergiejewicz, kierownik wydziału w przedsiębiorstwie numer trzysta siedemnaście. Poszedłeś do lasu dwudziestego piątego lipca i zabłądziłeś. Znalazłem wczoraj w archiwum protokół o rozpoczęciu poszukiwań tego Pachomowa, tak więc, jakby co - sprawa czysta, nie przyczepią się.

- A jak sprawdzą? Może już wrócił?

- Jak sprawdzą? Tam nie tylko światłowodów nie ma, tam nie ma prądu! Mogą się dowiedzieć tylko w mieście, a tam już nie dotrą.

- A jak...

- Uwaga, zaczynamy!

W tym momencie, wyszarpnąwszy się z objęć jakiegoś krzewu, dosłownie wypadłem na wąską ścieżkę, zatrzymałem się z ulgą i zacząłem otrząsać z siebie liście i szpilki. Ubranie pokryte było niezliczoną ilością smolistych plam, do każdej fałdki i do wszystkich kieszeni nasypało się szpilek, a na dodatek po tkaninie pełzały jakieś żuczki i pajęczki. Dobrze przynajmniej, że nie musiałem się obawiać konsekwencji ukąszeń: przed przerzutem wpompowali we mnie trzy megaszczepionki, po każdej tydzień musiałem leżeć w łóżku. Potem Stiopa, nasz biotechnik, powiedział, że można było zrobić jedną, bezbolesną, ale okres aktywności

ma o półtora roku krótszy. Dodałem mu za to środka przeczyszczającego do pomarańczowego soku, mądrała się znalazł. Niech sobie posiedzi, pomyśli.

Nie było sensu tu tkwić, dlatego, oczyściwszy wnętrze butów, poderwałem się, odpędziłem stado komarów i ruszyłem dalej, ale nie minęło dziesięć sekund, jak usłyszałem surowy głos:

- Stój, kto idzie!?

- Pachomow, Siemion Siergiejewicz - zameldowałem dokładnie i wyraźnie. - Kierownik działu zakładu produkcyjnego numer trzysta siedemnaście. Dwudziestego piątego lipca poszedłem na grzyby i zabłądziłem.

- Idiota... - rozległ się w uchu jęk.

- Sam idiota! - odgryzłem się.

- Kto idiota?! - zdziwił się surowy głos.

- Sam idiota jestem - powtórzyłem. - Mam na myśli siebie. Poszedłem na grzyby i zabłądziłem.

- Czy ty aby, wujku, nie sfiksowałeś? - zapytał głos.

- Tak - zgodziłem się szybko. - Dwa tygodnie w lesie siedzę, zmęczony jestem, zdenerwowany.

- Coś za bardzo rumiany jesteś i dobrze odżywiony, jak na dwa tygodnie w lesie - rzucił powątpiewająco głos.

- Odżywiałem się surowymi grzybami i jagodami - podałem przygotowaną wcześniej wersję. - Piłem wodę z czystych źródłanych strumyków.

Odpowiedziało mi długie milczenie. Potem surowy głos zapytał:

- Dokumenty są?

- Skąd niby?! - zdziwiłem się. - Kto bierze ze sobą do lasu dowód osobisty?

Jeśli ktoś nie wie: dowód osobisty to coś jak numer identyfikacyjny, tyle że na papierze. W Muzeum Rosyjskim są takie eksponaty, trzy różne typy.

- Odwróć się plecami i podnieś ręce - zażądał głos. Usłuchałem. Po chwili usłyszałem ostrożne kroki. Po kilku sekundach poczułem na karku ciężki gorący oddech, moje ciało zaczęły oklepywać pachnące dymem dłonie.

- Dobra, niech będzie.

Opuściłem ręce i obejrzałem się: surowy głos należał do chudego chłopaka, jakieś piętnaście lat na oko. Miał na sobie jasnozielony strój, z niebieskimi paskami na ramionach, na szyi wisiał automat.

Jeśli ktoś nie wie: automat - rodzaj broni, coś jak blaster, ale nie ma samonaprowadzania i strzela małymi metalowymi kapsułami. W muzeum artylerii pozwolili mi „walnąć” z takiego - do tej pory ramię mnie boli.

- Idziemy - powiedział chłopiec i wskazał ścieżkę.

- Idziemy - zgodziłem się i sprecyzowałem na wszelki wypadek: - A do wojska nie biorą aby od osiemnastego roku życia?

- Du ist szpik Inglisz?! - niespodziewanie ryknął chłopak.

- Co-o? - nie zrozumiałem go.

- Nic - surowo rzucił chłopiec. - Sprawdzam cię. Zadajesz dziwne pytania.

- A o co zapytałeś?

- Pytałem, czy mówisz po angielsku.

- Aa... - zacząłem, ale w tym momencie w uchu rozległ się wściekły szept Antona:

- Milcz, idioto!!!

- Sam idiota! - odgryzłem się.

- Co powiedziałaś? - nastroszył się chłopak.

- Powiedziałem, że idiota - opanowałem się. - Poszedłem na grzyby i zabłądziłem. - I dodałem na wszelki wypadek: - Pachomow, Siemion Siergiejewicz, kierownik działu zakładu produkcyjnego numer trzysta siedemnaście. Dwudziestego piątego lipca poszedłem na grzyby i zabłądziłem.

- Tak - skinął głową chłopak i poklepał się po kieszeniach. - Masz co palić?

- A co to takiego?

- Tfu! - splunął chłopak. - Przecież cię przeszukiwałem! Przez tę rozmowę i ja zaraz sfiksuję. Idziemy, co tak stoisz!

\* \* \*

Wieś Tiunonia składała się z pięciu dość daleko od siebie położonych chat.

Jeśli ktoś nie wie: rosyjska chata to wysoka, prostokątna, drewniana budowla, bardzo podobna do standardowego modułu na rodzinny sterowiec, ma jakieś osiem metrów szerokości, pięć wysokości i około

trzydziestu długości. W późnych informatycznych źródłach przyjęto chatę przedstawiać jako coś małego, o powierzchni trzydziestu-czterdziestu metrów, ale takie małe chaty pojawiły się dopiero w drugiej połowie dwudziestego wieku i były wykorzystywane przede wszystkim przez ludzi z miast jako czasowe schronienie na czas wypoczynku; powinno się je rozpatrywać raczej jako stacjonarne namioty, a nie jako domy.

Każdą z chat otaczał duży ogród, niewysokie krzewy jagodowe i rzadko rosnące, ale ogromne jabłonie. Żadnych płotów, siatek i opłotków nie widziałem, chociaż ich istnienie było dobrze potwierdzone dokumentami z piątego-szóstego wieku. Coś tam się mówiło o trzech żerdziach, czy o wysokości... Nie pamiętam. Zresztą, na to odludzie może jeszcze te przepisy nie dotarły.

- Oto, towarzyszu kapitanie, zatrzymałem przestępcę. - Chłopiec niedbale machnął dłonią obok skroni. - Szedł w stronę wsi.

- Dobra, Stiopa. Jesteś wolny.

- Yhy - skinął głową chłopak i oddalił się.

- Nie „yhy”, a „tak jest”! - krzyknął za nim kapitan i wstał z ganku.

Dowódca różnił się od chłopaka wiekiem, bardziej sztywnym i ciemniejszym ubraniem i mnóstwem malutkich gwiazdek na ramionach. Na okrągłej rumianej twarzy ciemniały gęste wąsy, a bujne ciemne loki dziwnie otaczały dużą łysinę. Trzymanym w ręku niewielkim żelaznym nożykiem wycinał coś z wierzbowej gałązki. - Kim jesteś, skąd się tu wzięłeś? - zapytał, nie patrząc na mnie.

- Pachomow, Siemion Siergiejewicz - powiedziałem po raz trzeci. - Kierownik działu zakładu produkcyjnego trzysta siedemnaście. Dwudziestego piątego lipca poszedłem na grzyby i zabłądziłem.

- No i ile czasu tam „błądziłeś”?

- Dwa tygodnie.

- Zmęczony pewnie jesteś, głodny?..

- Bardzo zmęczony - przytaknąłem. - I głodny.

- Ale wyglądasz - pierwszy raz popatrzył na mnie kapitan - jakbyś z wczasów przyjechał.

- Przecież mamy sierpień - powiedziałem. - W lesie dojrzały jagody, grzyby. A większość tych gatunków roślinności nadaje się do konsumpcji w stanie surowym. Na dodatek nie nadeszły jeszcze mrozy, a opadów ostatnio nie było.

- A masz lusterko, gościu z lasu? - uśmiechnął się kapitan.

- Nie - wzruszyłem ramionami. - A bo co?

- A to - kapitan wstał - że gdybyś się żywił jagodami, to miałbyś usta czarne, jak topielec.

- A ja jadłem grzyby. Tylko prawdziwki. Jest ich tam tyle, co gwiazd w galaktyce.

- Powiedz mi jeszcze, że popijałeś je wodą ze strumyków - uśmiechnął się jeszcze szerzej kapitan i zaczął obmacywać kołnierz mojego ubrania. - Nie kryjesz tu ampułki?

- Jakiej ampułki?

- Zwyczajnej. Z cyjankiem potasu.

- Ale co pan?! - wzdrygnąłem się. - Przecież to straszna trucizna! Nie wolno jej pod żadnym pozorem nosić w ubraniu!

W tym momencie kapitan cofnął się o krok i popatrzył na mnie z ogromnym zainteresowaniem, po czym zapytał:

- Nie chodziłeś do kina? Książek o szpiegach nie czytałeś?

- Jak to - nie czytałem? I widziałem ich mnóstwo razy. W skafandrach...

- To nie ci!!! - zaryczał szeptem Anton w moim uchu. - On ma na myśli ziemskich, dwunożnych...

- Aaa... - dotarło do mnie. - Macie dwunożnych szpiegów?

- Ty, chłopie, aby nie nażarłeś się muchomorów zamiast prawdziwków? - Kapitan w zamyśleniu skubnął się w ucho.

- Nie, nie jadłem, nie wolno ich jeść - ostrzegłem go. - Zawierają dużą ilość amanityny i falloidy. Są niebezpieczne nawet po długotrwałej obróbce termicznej.

Teraz kapitan zamilkł na długo. Potem zadał mi podchwytliwe pytanie: ?

- Jak się nazywa główna ulica w naszym mieście?

- Nijak - wzruszyłem ramionami. - Nie ma innej ulicy. Od stacji - do fabryki.

- A gdzie mieszkasz?

- W hotelu robotniczym.

Jeśli ktoś nie wie: hotel robotniczy - tani hotel samoobsługowy.

- A gdzie stoi pomnik Lenina?

- Przed przychodnią!

- A czapkę ma w rękę czy na głowie?  
- Czapkę... - podrapałem się po głowie. Standardowe rozplanowanie takich osad poznałem dość dobrze, ale czapek mapy nie ujmowały...

- Aha! - złowieszczym basem przeciągnął kapitan. - Nie wiesz.  
- A bo i nie patrzyłem nigdy na niego! - spróbowałem się jakoś bronić. - Po dziesięć takich stoi w każdej wsi!

- A jak się nazywa wasz dyrektor?  
Nie wiem ile czasu jeszcze trwałoby to przesłuchanie, ale nagle drzwi chaty otworzyły się i na ganek wyskoczyła dziewczynka w krótkiej białej sukience, z dwoma warkoczykami w kolorze suchej słomy:

- Wujku Kola, babcia woła jeść!  
- Dziękuję, Oksano. Zaraz przyjdę.  
- Oksana? - zdziwiłem się. - Nie Prudnikowa przypadkiem?  
- Prudnikowa - skinęła głową zdziwiona dziewczynka. - A skąd pan mnie zna?  
- Przecież o tobie był artykuł w powiatowej gazecie! „Matematyczny geniusz” się nazywał!  
- Naprawdę? - szczerze zdziwiła się Oksana. - Nawet nie wiedziałam! Pokaże mi go pan?  
- Niestety - wrzuciłem ramionami. - Nie zabieram gazet na grzyby. Mam ją w mieście...  
- A my przecież jutro do miasta jedziemy! - Ucieszona dziewczynka plasnęła w dłonie. - Słowo pioniera.  
- No to spróbuj rozwiązać tę łamigłówkę. - Zdjąłem z nadgarstka retonoblizer i nałożyłem jej na przegub.  
- Tu jest taki sprytny zameczek. Jak ci się uda otworzyć przed miastem - podaruję ci ją na zawsze.  
- Naprawdę? Hurra! - Podniosła rękę do oczu i zaczęła uważnie wpatrywać się w urządzenie.

Retonoblizer zbudowany jest na siedmiowarstwowych czipach i zalany korundem. Na pierwszy rzut oka przypomina bransoletę wysadzaną półszlachetnymi kamieniami i - jak na mój gust - jest dość ładny. Wstawiono weń gładkokontaktowy zamek, po włączeniu można go już potem tylko rozpiłować.

- Pewnie sporo kosztuje taka zabaweczka? - zainteresował się kapitan i wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć bransoletę.

- A, nawet nie wiem - wrzuciłem ramionami. - To nasze zakładowe złote rączki z odpadów toczą.

Jeśli ktoś nie wie: zakłady przemysłowe, które nie miały nazwy, a tylko numer - to były syntezatory narzędziowe, które wykonywały niebezpieczne dla życia i zdrowia zamówienia, dlatego pytanie o nie w dwudziestym wieku uważano za łamanie prawa.

Kapitan przemilczał moją odpowiedź, wydał z siebie tylko takie: „hm-hmy?”, a potem wskazał mi głową drzwi:

- Chodźmy, skosztujesz świeżej rybnej zupy. Wyciągnąłem z rana takie trzy bolenie, że hej! - Odmierzył na rękę mniej więcej pół metra. - Ucha mi wyszła naprawdę znakomita... Jeśli rzeczywiście jesteś szpiegiem, to będziesz miał co w kryminale wspominać.

- Kto szpieg? - spróbowałem skonkretyzować jego słowa.  
- Potem się dowiesz - obiecał kapitan i pierwszy wszedł do sieni.

Jeśli ktoś nie wie: sień w rosyjskiej chacie to coś jak termiczna śluza, zazwyczaj oddziela pomieszczenia mieszkalne od ulicy i podwórca.

Stół w jadalni przykryty był białym obrusem, stały na nim głębokie talerze, kilka mętnych szlifowanych szklanek, zielona butelka, leżało kilka łyżek z surowego drewna. Stół otaczały dość toporne taborety z heblowanymi deskami.

- Jak sądzisz, dziadku, warto karmić amerykańskiego szpiega rosyjską zupą rybną?  
- A czemu mielibyśmy nie dać człowiekowi zjeść po tak długiej drodze? - wrzucił ramionami niewysoki staruszek w zielonej koszuli w kratę, z krótką jasną bródką i opaloną, pokrytą drobnymi zmarszczkami twarzą. - Niech wie, jak normalni ludzie sobie żyją.

- Nie jestem szpiegiem - uprzedziłem ich. - Szpiegdy w ziemskiej atmosferze bez skafandrów wytrzymują co najwyżej dziesięć minut. A siedmionodzy - góra trzy minuty.

- Ale zaszuwa! - nie wiadomo dlaczego ucieszył się kapitan. - Warto za takie gadanie wypić.

- Warto, pewnie, że tak - zgodził się staruszek. - Po maluchu jabłkowego możemy...

- Jakiego tam jabłkowego?! - zjadliwym tonem zapytała siwiutka staruszka, która akurat wpłynęła do izby z sagankiem w rękę. - Przecież pędzisz go ze zgniłych kartofli! Specjalnie żeby zgniły, zaraza jedna, mokre zadołował!

Jeśli ktoś nie wie: saganek to garnek z żeliwa w kształcie cebuli.

- To inny - usiłował usprawiedliwić się staruszek. - A ten jest naprawdę z jabłek.

- Nie łyżj. - Babunia odstawiła saganek na deseczkę na środku stołu. - Jabłka w zeszłym roku nie obrodziły.

- A milcz no trochę! Żebyś się jabłkiem zadławiła! - rozeźlił się dziadek. - Przez cały czas chce mi apetyt zepsuć.

Zdecydowanym gestem chwycił butelkę, szybko rozlał do szklanek nieco mętnawą, podobną do chlorowanej wody wodociągowej, ciecz.

- Spróbujcie sami! Czy to może być kartoflany?

Po czym zdecydowanie i on, i kapitan, wypili. Ja też podniosłem szklankę z dziwnie pachnącym napojem do warg i zacząłem go pić, starając się robić to tak samo sprawnie jak gospodarze. Przez kilka łyków wszystko było w porządku, a potem poczułem, że z moim gardłem dzieje się coś strasznego - jakby mi je ktoś podpalił, jak lutlampę, i zaraz miałem zacząć dyszeć ogniem. Potem zrozumiałem, skąd się wzięło to uczucie, choć może było już za późno - dopiłem szklankę do końca, zanim jeszcze pojąłem, że nie należało tego robić.

- No i jak - zapytał dziadek, wzdrygnąwszy się lekko. - Kartoflany?

Nie odpowiedziałem, bo nie mogłem, tylko z oczu popłynęły mi dwie lodowate łzy.

- Ten-tego... - zakrzętała się dziadek. - Zakąszaj. Dawaj, uchy skosztuj.

Przysunąłem do siebie talerz, chwyciłem łyżkę i zacząłem szybko zalewać zupą usta, usiłując ugasić szalejący w nich pożar.

- Jabłkowy, jabłkowy, dziadku - z przekonaniem oświadczył kapitan. - Jeszcze po jednym?

- Obowiązkowo - skinął głową dziadek i odwrócił się do staruszki. - Strzelisz sobie, żonuś?

- Trzeba będzie - ciężko westchnęła zapytana. - Bo przecież sami to się do końca spijecie, kochani moi.

Oni wypili po szklance, a ja w tym czasie wychleptałem zawartość talerza i gorączkowo obmacywałem stół, żeby jeszcze coś zamówić, ale nie mogłem znaleźć ani jednego sensora.

- No i coś ty, zarazo jedna, najlepszego zrobić? - staruszka, widząc moje wysiłki, plasnęła w dłonie; sama ani drgnęła po wypiciu szklancy. - Człowiek z miasta, miękki jest, a ty go tą swoją berbeluchą trujesz. Żal ci żurawinówki, czy co? Poczekaj, kochaneczku, zaraz ci przyniosę kapustki kwaszonej.

Wyszła i po chwili wróciła z miską jasnożółtej kaszy i małym dzbankiem; nalała mi z niego ciemnoczerwonego napoju.

- Tym, kochaniutki, sobie popij.

Zapiłem i zrozumiałem, że i to było błędem. Jednakże myśli moje płynęły już gęsto i wolno, dlatego wcale się nie zaniepokoiłem, a bardzo mądrze przypomniałem sobie, że muszę sprawdzić, czy dokonałem właściwego wyboru.

- Gdzie tu jest wychodek? - zapytałem rzeczowo i wstałem od stołu. - Ten z podręcznikami... Muszę fakty wtórne sprawdzić i... wracam. Wy tu na razie, nie utylizujcie... tego... ja migiem...

- Ach, dziadu, dziadu - powiedziała i pokiwała głową z wyrzutem staruszka.

- To nie to - pokojowo wtrącił się kapitan. - On dwa tygodnie szlajał się po lesie, zmęczony, to i go zmorzyło.

- A kibełk na podwórku - dodał dziadek. - Zaraz przy sieni.

Jeśli ktoś nie wie: podwórzec - to część chaty z ziemną podłogą, zazwyczaj dzielony na poszczególne sekcje, wykorzystywane do hodowli bydła, przechowywania gospodarczego inwentarza i drewna. Część podwórca między dachem i mieszkalną sekcją chaty wiejscy mieszkańcy wypełniali sianem i często wykorzystywali jako miejsce dokonywania chromosomowo-genetycznych transplantacji. Wygląda, że ważną rolę spełniał tu aromat polnych traw i ziół, który prócz tego był aktywnie antybakteryjny i tworzył stały mikroklimat, w którym warunki sprzyjające przebiegowi procesu były o wiele lepsze niż mieszkalne sekcje w chacie.

Wiejski wychodek był małym pokoikiem, mniej więcej zero siedem metra kwadratowego, z drewnianym parapetem naprzeciwko drzwi. Na środku parapetu wykonano wąskie wycięcie. Spuściłem spodnie, odwróciłem się, usiadłem i rozejrzałem się. Na ścianach dokoła białało mnóstwo papierowych kartek, pokrytych drobnym drukiem i wyraźnymi rysunkami.

- Świetnie! - ucieszył się w moim uchu Anton. - Zgadłeś!

- A co myślałeś?! - odpowiedziałem z dumą, czując rodzącą się w duszy urazę. - No nie, dlaczego świat jest tak urządzony, co? Oto, na przykład, to, co pode mną. Dlaczego jedni z tego tematu robią dyplomy, inni zarabiają dolary, twoja żona, chociaż jest ginekologiem, habilitację zaliczyła, a ja mam tylko siedzieć z gołym tyłkiem w przeciagu i obsrywać cudze prace naukowe? Gdzie tu sprawiedliwość?

- Sprawiedliwość polega na tym - radośnie odparował Anton - że ty w komputerze nie posunąłeś się poza blok gier, a moja żona, chociaż jest ginekologiem, w blokach pamięci stale grzebie.

- W czym grzebie? - Nie dosłyszałem ostatnich słów, ale w tej samej chwili pokoiak tak się kiwnął, że zwałem się na bok, głową huknąwszy w ścianę. Usiłowałem wstać, ale pokoiak natychmiast wahał się w przeciwnym kierunku.

- Trzęsienie ziemi! - wrzasnąłem. - Uciekać na ulicę! Wyskoczyłem do sieni, udało mi się dobiec niemal do drzwi, ale dom kiwnął się ponownie i wykonałem na podłodze koziołka. Wszystkie myśli wymieszały mi się kompletnie. Dość długo leżałem na podłodze, dochodząc do siebie, dopiero po chwili podjąłem wysiłek i wstałem.

Kapitan, dziadek i staruszka stali o dwa kroki ode mnie i w zamyśleniu patrzyli, jak posuwam się wzdłuż ściany.

- Trzęsienie ziemi - uprzedziłem ich. - Szybciej, uciekajcie na ulicę.

Jednakże zamiast ratowania własnej skóry staruszka odwróciła się do dziadka i dźwięcznie go spoliczkowała. Potem zdecydowanie chwyciła mnie za ramiona i przeciągnęła do czystego, pachnącego mentolem pokoju z dużym niklowanym łóżkiem pod ścianą, zręcznie mnie rozebrała i ułożyła w pościeli.

- Śpij.

- Przecież trzęsienie ziemi... - powtórzyłem niepewnie.

- Nic to, dom jest mocny, wytrzyma - pocieszyła mnie staruszka. - A przed świtem się skończy.

Rozumiałem, że po prostu mnie pociesza, że wszyscy możemy w każdej chwili zginąć, ale byłem tak zmęczony, że i tak nie mogłem wstać, zamknąłem więc po prostu oczy, odwróciłem się na brzuch i mocno wczepiłem w łóżko.

\* \* \*

Słońce uderzyło w zamknięte powieki i odpędziło resztki snu.

- Obniżyć jasność - poleciłem, ale nic się nie zmieniło. - Obniżyć jasność! - powtórzyłem głośniejsze, i ponownie - nic się nie stało.

- Obniżyć jasność! - krzyknąłem, otwierając oczy i podnosząc głowę. Osłupiałem, widząc niemal nad samą głową małe kwadratowe okienko z białymi haftowanymi firankami.

- Już się oczmychałeś? - Przez szparę w drzwiach wsunął głowę wczorajszy kapitan, ubrany tym razem w białą koszulę bez kołnierzyka. - Widzicie go: trzęsienie ziemi! Wstawaj, zjemy śniadanie i za godzinę ruszamy.

Musiałem wstać i wciągnąć na siebie zniechęcone wczorajszego dnia robocze ubranie.

- Już wiemy, co się z tobą wczoraj stało - gorączkowo zaczął szeptać mi w ucho Anton. - To było zatrucie alkoholowe. Głowa cię nie boli?

- Odczep się - warknąłem, z trudnością poruszając suchym i gorącym językiem.

- Żona mówi, że to normalne zjawisko.

- Specjalistka od ginekologii? Ta, co to habilitację z kibli zrobiła? Niech komu innemu opowiada o zatruciu alkoholowym.

Jeśli ktoś nie wie: zatrucie alkoholowe to zatrucie alkoholem. W sieni spotkałem staruszkę.

- Masz, kochaneczku, poczujesz się lepiej - podała mi spoconą szklaną bańkę z brązowym roztworem, w którym wyraźnie pływały jakieś strzępy w białym, żółtym i czerwonym kolorze. Normalnie to nie wziąłbym czegoś takiego do ręki, ale w tej chwili tak chciałem zwilżyć gardło czymś zimnym, że machnąłem na wszystko ręką, chwyciłem słoik i podniosłem do ust. Roztwór był przyjemny w smaku, nieco przesolony, wyraźnie czuło się w nim kwas askorbinowy.

Smaczne - powiedziałem. - Odświeżające. Jak to się robi?

- Normalnie - wruszyła ramionami gospodyni. - Marcheweczka, trochę chrzanu, odrobina cukru. Najważniejsze, to kapustę w odpowiedniej chwili ściąć, nie przegapić, żeby była zwarta i twarda.

- Aha - skinąłem głową, nic nie rozumiejąc. - Koniecznie muszę zrobić.

- Ja ci, kochaneczku, przepis napiszę, jak przyjdziemy do miasta.

- Poproś teraz - szepnął Anton. - Spróbujemy odtworzyć to w laboratorium.

- A pani też do miasta leci? - zdziwiłem się, pokazując Antonowi figę w kieszeni.

- A jakże inaczej? - z dumą kiwnęła głową staruszka. - Wszak wnuczkę do szkoły odprowadzamy. Idź, synku, do stołu, tam kartofelki już gotowe.

- Już - zgodziłem się. - Tylko się odświeżę po śnie.

\* \* \*

Ku mojemu zdumieniu, jedynym środkiem transportu, jaki mógł przemieścić nas do miasta, była furmanka. Zbudowana z dość topornie ociosanych grubych żerdzi, szczerze wymoszczona sianem, z drewnianymi kołami i prawdziwym koniem między długimi dyszlami.

Jeśli ktoś nie wie: dyszle również wykonuje się z żerdzi.

- Siergiejew i Farkten - do przodu. Tołuszkini i Czajkin - za nami! - zdecydowanie polecił kapitan.

Młodzieńcy, w tym samym wieku jak ten, który mnie spotkał wczoraj na ścieżce, skinęli głowami i rozeszli się. Kapitan uważnie rozejrzał się dokoła i wskoczył na furmankę, obok staruszki.

- Jedziemy!

Dziadek cmoknął i potrząsnął długimi brązowymi lejcami. Furmanka, skrzypiąc, wolno ruszyła do przodu.

- Jak przyjedziemy na miejsce, przypomnij mi, żebym ci dał smaru - skrzywił się kapitan. - Nie znudziło ci się jeszcze to skrzypienie?

- A, co tam - machnął ręką dziadek. - Za jakieś pięć godzin przyzwyczaisz się i przestaniesz zauważać.

- Leniwy ci jest, ten pasożyt! - pogardliwie prychnęła staruszka. - Od kilku lat nie może się zebrać by to nasmarować. - Odwróciła się do wysokiej młodej kobiety z drugimi jasnymi włosami. - Wsiadaj, Siergiejewna, nóg na loterii nie wygrałaś.

- Na razie, Zinaido Nikitizna, przejdę się trochę - odpowiedziała i popatrzyła na Oksankę. - Może ty chcesz wsiąść?

Ale dziewczynkę pochłoneła całkowicie moja bransoletka. Kręciła nią tak i siak, wysuwając w zdenerwowaniu język. Trącała coś paznokciem, pocierała palcami, patrzyła pod światło.

- Nie potknij się - poradziłem.

Oksanka pociągnęła nosem, zerknęła na mnie i wróciła do rozwiązywania łamigłówek.

- Aleś jej zagadkę zadał, synku - pokręciła głową staruszka. - Nie spała całą noc! Może podpowiesz jej, gdzie tkwi haczyk?

- Nie - burknęła dziewczynka. - Ja sama.

- A pan jest ojcem? - zapytała kobieta.

- Nie - odpowiedziałem. - Nie mam dzieci, żony też. Jestem Pachomow, Siemion Siergiejewicz, kierownik wydziału zakładu produkcyjnego trzysta siedemnaście. Dwudziestego piątego lipca poszedłem na grzyby i zabłądziłem.

- Jak to? - zdziwiła się kobieta.

- Nie wiem - wzruszyłem ramionami. - Jakoś tak samo wyszło. A pani kim jest?

- Och, przepraszam. Tatiana Siergiejewna Załumina. Jestem nauczycielką w miejscowym kołchozie. Wiozę dziś Oksankę do Moskwy, do akademika Abałkina.

- Do tego Abałkina? - odegrałem zachwyt. - To wspaniale!

- Tak - skinęła głową nauczycielka. - Nie byłam nigdy w Moskwie! A pan?

- Ja mam tam flanowy stopler - pochwaliłem się. - Co prawda - tylko na glicynym bazironie.

- Co ty pleciesz! - eksplodował w moim uchu głos Antona. - Jaki baziron? Jaki stopler?! Dookoła ciebie dwudziesty wiek!

- Przepraszam, nie dosłyszałam? - pokręciła głową Tatiana Siergiejewna.

- Chciałem powiedzieć - poprawiłem się szybko - że uczyłem się tam, na politechnice.

- Przestań kupidonic panienkę - warknął Anton. - Przypominam ci plan działania: gdy się zacznie zadyma, wyłączam pole rewersywne i Oksana zostanie przerzucona do nas. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, ty włączasz swój retonoblizer i zwijasz się. Jeśli coś nie zagra, to obejmujesz dziewczynkę, a ja spróbuję wyciągnąć was oboje. Słyszysz mnie?

Najwyraźniej okropnie mi zazdrościł. Tania była nie tylko bardzo miłą i sympatyczną kobietą, ale i bardzo kontaktową, na dodatek przebijała z niej taka miła dziecinna naiwność. Dowiedziawszy się, że mieszkałem w Moskwie, omal nie zaczęła klaskać w dłonie i zaczęła rozpytywać mnie o Mauzoleum.

Jeśli ktoś nie wie: Mauzoleum to miejsce, gdzie przechowywana jest atropa jednego z proroków, założyciela marksizmu, który, co prawda, nie nazywa się Marks, a Lenin. Jeśli wydaje się wam, że „Lenin” to jego drugie nazwisko - macie rację. Tyle że pierwsze nazwisko proroka też do niczego nie pasuje: Włodzimierz Iljicz Uljanow, na dodatek zostało to całkowicie naukowo udowodnione.

Od rozmów o religii, starając się nie urazić jej przekonań, ostrożnie przeszedłem na rozmowy literackie, przypomniawszy sobie Czechowa i Bułhakowa, dwu genialnych pisarzy, którzy na pewno żyli w dwudziestym wieku. Czechowa moja rozmówczyni знаła, a Bułhakowa - nie wiadomo dlaczego - nie. Przy tym opowiadała o jakichś Gorkich i Tołstojach, ale jakoś tak mętnie, że nabrałem przekonania o istnieniu więcej niż jednego Tołstoja. A gdy zaczęła mówić o Majakowskim nie jako o malarzu, ale o poecie -



zupełnie straciłem kontenans i zacząłem się plątać. W końcu, po tym, jak powiedziałem, że Ostrowski był utalentowanym fizykiem, otworzyła szeroko oczy i zapytała mnie, jakie miałem oceny w szkole podstawowej.

Na szczęście przypomniałem sobie kilka wzorów Ostrowskiego z grawitacyjnej kinematyki, szybko wykreśliłem je w przydrożnym kurzu i powiedziałem, że miałem średnią - osiem i siedemset czterdzieści trzy. Ona się jakoś tak skonfundowała, poczerwieniała nawet, po czym szepnęła, że chyba mówimy o różnych rzeczach. A potem zapytała, gdzie mieszkam.

- Milcz - syknął Anton. - Nie zapominaj, że jesteś kierownikiem wydziału w dwudziestym wieku. Powiedz, że masz małą trzypokojową sekcję w hotelu robotniczym obok domu kultury.

Podśłuchuje, znaczy się, mitochondria żonata! Na pewno zazdrości.

No i tak sobie mijają czas i droga. Szlak prowadził między czystymi połyskującymi jeziorami, wspinał się na wzgórze, omijał wiatrołomy, ciągnął się przez rzadkie, rozświetlone sosnowe lasy, zagłębiał się w gęste krzewy, gdzie czasem gałęzie niemal całkowicie zakrywały drogę i trzeba je było rozsuwać rękoma. Dwukrotnie drogę i jej brody przecinały wąskie rzeczki. Kobiety za każdym razem wskakiwały na furmankę, a ja za pierwszym razem wskoczyłem, a za drugim nie chciało mi się i poszedłem na piechotę. Ku mojemu niebotycznemu zdziwieniu ubranie przemokło jak chusteczka do nosa i długo potem ociekało wodą. Kląłem i usiłowałem wyżyć wodę ze sztywnych nogawek, a Anton w uchu cicho i zjadliwie chichotał. Na szczęście droga znowu zrobiła się piaszczysta i prowadziła przez nasłoneczniony rzadki sosnowy las; zbliżyliśmy się do płaskiego wzgórza.

- Proszę mi powiedzieć, Siemionie Siergiejewiczu - nauczycielka zeskoczyła z furmanki - a do was do miasta przyjeżdżają jakieś teatry na występy?

- Owszem - skinąłem głową i wybrałem najbardziej bezpieczny wariant: - „Hamleta” niedawno przywieźli.

- Nie byłem w teatrze już od kilku lat - westchnęła Tania. - Jak ja panu zazdroszczę!

- Nic straconego - uśmiechnąłem się czarująco. - Następnym razem na pewno panią zaproszę.

Ku mojemu zdziwieniu Anton nie zareagował w żaden sposób na moją obietnicę. Aż się zaniepokoiłem, czy nadajnik jest sprawny.

- Prrr, Sawrasku! - pociągnął za lejce dziadek. - Poczekaj chwilę, pozwól staremu rozprostować kości.

Koń parsknął niezadowolony, a dziadek dość raźnie zeskoczył na ziemię, pogłaskał się po brodzie i pomaszerował w kierunku krzaków, jakieś sto metrów od drogi.

- Co on robi? - zdziwiłem się.

- No, pewnie musi - Tania nie wiadomo dlaczego zarumieniła się.

- Słyszysz mnie, Arkasza? - cicho zapytał Anton.

- Yhy - burknąłem cicho, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

- Zaraz się zacznie.

Co? - nie zrozumiałem go w pierwszej chwili.

- Mam! - krzyknęła triumfująco Oksana, jedną ręką machając rozpięta bransoletą, a drugą odpychając od siebie pysk konia. - Udało się!

W tym momencie coś tak huknęło, że aż nogi się pode mną ugięły. Furmanka szarpnęła się do przodu, Tania skoczyła do tyłu. W nosie i oczach szczypało, po chwili ponownie huknęło, a na dodatek błysnęło, na głowę sypnęło piaskiem, gałązkami i jakimiś śmieciami - wszystko to razem jakimś dziwnym echem odbiło się w moim brzuchu, skręciło mi żołądek, więc - póki nie stało się coś gorszego - migiem zaktywizowałem swój retonoblizer.

\* \* \*

- Zakropcie mu oczy - poważnym tonem kierownika polecił Anton; czyjeś mocne ręce odgięły mi głowę do tyłu i w kącikach oczu poczułem miły chłód. Już tak mocno nie szczypało.

- Szkoda, że cię tam nie było - nie wytrzymałem i przypomniałem mu sarkastycznie: - „Uważaj, nie pokręć. Kiedy zaczną wybuchać błyskoszumowe granaty, to będzie znaczyło, że zostaliście napadnięci!”. Akurat można te grzmoty z czymś pomylić!

- A kto mógł wiedzieć, że huk będzie większy, niż mogą przenieść głośniki? - usprawiedliwił się Anton.

Pewnie - mogłem go zdławić moralnie, tknąć nosem w błędy i niedoróbki, ale radość z sukcesu pierwszego doświadczenia popchnęła mnie ku wielkoduszności.

- Dobrze - niedbale uśmiechnąłem się, pomrukałem trochę, żeby sprawdzić, czy oczy nie boją, odsunąłem rękę pielęgniarki i usiadłem w fotelu. - Wszystko to detale. Wiedziałem, czym ryzykuję! Natomiast teraz

wiadomo, jakimi jesteśmy zuchami! Znaleźliśmy w gęstwinie czasu taki talent! Prawdziwy geniusz! Nie, no tylko sobie wyobraź - potrafiła rozpiąć retonoblizer!

- To już wiem - ponuro skinał głową Anton.

- Skąd? - zdziwiłem się.

- To nie było trudne.

Anton odsunął się i odsłonił drzwi do komory przerzutowej. W środku komory stał koń.

**Przekł. EuGeniusz Dębski**